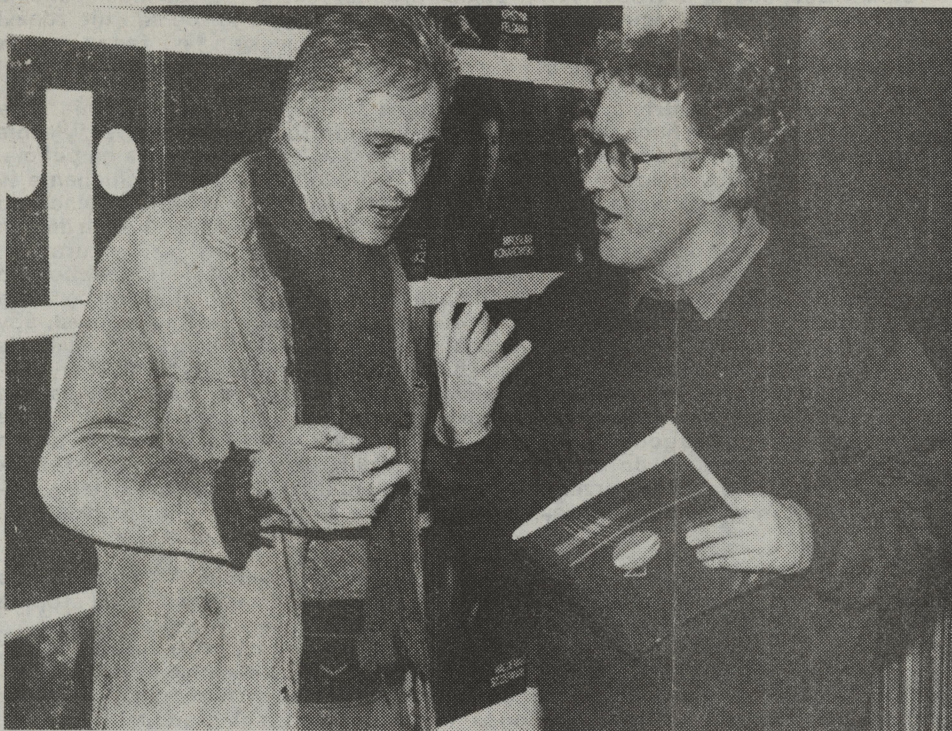


NASZA WSPÓŁCZESNA

Czy zauważyliście, jak niewielu reżyserom teatralnym udają się realizacje filmowe? Z reżyserami filmowymi jest przeciwnie: swe doświadczenia poczynione na planie ciekawie wzbogacają reżyserowane przez nich spektakle teatralne. Przykładami mogą być Andrzej Wajda czy Krzysztof Zanussi. Obecnie będziemy mieli możliwość sprawdzić w tym względzie Roberta Glińskiego. Reżysera, którego trzy ekranowe filmy przyniosły mu laury i krajowe i zagraniczne.



Reżyser „Antygony” Robert Gliński z odtwórcą roli Saszy — Michałem Grudzińskim. Fot. J. Romaniszyn

Najpierw były „Niedzielne igraszki” o dzieciach ery stalinowskiej, w których w podwórkowych zabawach jak w krzywym zwierciadle odbijały się zaszłości tego okresu (nic dziwnego, że film miał kłopoty z cenzurą i dopiero po jej przetrąceniu można go było pokazać). Film zdobył m.in. nagrodę Złotego Dukata na Festiwalu w Mannheim. Potem były Srebrne Lwy Gdańskie za pastiszowy

„Łabędzi śpiew” wg scenariusza Bolesława Michałka a ostatnio Złote Lwy Gdańskie za „To co najważniejsze”, ekranizację fragmentów pamiętników Oli Watowej, wywiezionej przez sowietów do Kozachstanu, żony przedwojennego poety i pisarza. Tak na marginesie dodam, że czyniono nawet starania aby film ten uzyskał nominację do Oscara. Nie wyszło, podobnie jak z „Zimną obiecaną”

Wajdy. Ale już to samo świadczy o randze.

Robert Gliński jest realizatorem „Antygony w Nowym Jorku” Janusza Głowackiego. Sztuki, którą amerykański tygodnik „Time” umieścił na szóstym miejscu dziesiątki „sztuk roku”. Opowiada:

— Moja droga do reżyserii teatralnej wiodła poprzez teatr telewizji. To jest taka hybryda: pracuje się z aktorem jak w teatrze, ale już realizuje sposobem filmowym, ruchomą kamerą, która podchodzi do aktorów, wchodzi między nich, prowadzi wzrok widza...

— Z autorem, Januszem Głowackim znamy się od dawna. Ten z pozoru życiowy szalawiła i playboy jest wręcz pedantyczny w pracy: niezwykle starannie dokumentujący swoje sztuki i dobierający sobie ich realizatorów. Polską premierę powierzył Izabelli Cywińskiej. Jego „Antygona w Nowym Jorku” pomimo antycznego źródła swej intrygi jest sztuką absolutnie współczesną, bardzo atrakcyjną w dialogach, scenkach, pointach — tak dla widowni jak i dla reżysera i aktorów, którzy mogą jej dodać coś od siebie. Oglądamy trójkę bezdomnych: Anitę-Antygonę, kobietę z jednego z krajów latynoamerykańskich, Pchełkę — włóczęgę „tutejszego” oraz Saszę — Rosjanina, wykołajonego artystę-nieudacznika. Rolę starogreckiego Chóru pełni Policjant — zarazem przedstawiciel władzy i wysłannik przeznaczenia.

— W tej chwili robienia filmu w Polsce wymaga przede wszystkim znalezienia kogoś, kto dałby nań pieniądze. A więc niejako chodzenia z kapeluszem i zbierania minimum 20 procent przyszłych kosztów, przy czym koszt realizacji przeciętnego filmu wynosi plus-minus 10 miliardów złotych. Kiedy się już ma te 20 procent jest nadzieja, że Ministerstwo Kultury i Sztuki dorzuci dalsze 50 procent. No i wtedy już łatwiej zdobyć brakującą resztę. Mam dwa scenariusze filmowe — jeden współczesny o przyjaźni jaka łączy „cygana”-outsidera z małym chłopcem (który go zresztą najpierw okrada...), drugi już kosztowniejszy, kostiumowo-historyczny. Czy coś z tego wyjdzie — nie wie nikt.

— Ciekawe: filmy nawet najbardziej chodliwe w Polsce, jak na przykład „Psy” Pasikowskiego, nie zwracają kosztów. Dopiero ich sprzedaż za granicę pozwala na nich nawet zarobić. Wiem bo moje „Niedzielne igraszki” dzięki emisjom w kanałach satelitarnych przyniosły dopiero zysk...

Notował Zdzisław BERYT

Premiera „Antygony w Nowym Jorku” Janusza Głowackiego odbędzie się dziś — 21 stycznia na scenie Teatru Nowego.